

Zestaw fragmentów konkursowych

Fragmenty opracowano według wydań:

- *Roman Turek, Moja mama, ja i reszta, Warszawa 1989.*
 - *Roman Turek, Palacz z Hrabiowskiej Likierni, Warszawa 1977.*
-

Fragment 1

Piec był ogromny. Nie mogę do dziś określić jego wymiarów ani w metrach kwadratowych, ani kubicznych. W każdym razie zajmował połowę bądź co bądź wielkiej izby w naszej chałupie. Jego budowa mogłaby wzbudzić nawet dzisiaj zaciekawienie i podziw niejednego architekta czy mistrza sztuki budownictwa mieszkaniowego, gdyby na skutek swej starości sam się dawno nie zawalił.

Po co były potrzebne te różne nalepy, murki, zapiecki i przypiecki, ukosy, występy i duczaje - dziś byłoby trudno dociec. Wspomniałem o tym piecu, ponieważ utkwiał mi w pamięci najbardziej z mojej najwcześniejszej młodości, jako mój osobisty apartament: mieszkanie, sypialnia, pokój do zabaw i przyjęć. Tu przyjmowałem wizyty moich rówieśników i rówieśnic. Panowałem na nim niepodzielnie niczym dziedzic na swoim folwarku. Na szerokim murku, łączącym piec wysoki z nalepą, miałem poukładane różne zabawki: kawałki szkła, skorupy potłuczonych naczyń glinianych, różne pokręcone patyczki, drewnienka. Gdzie się dało ponaklejałem ściany różnymi obrazkami, wyciętymi ze starych książek czy też wyciągniętymi w tajemnicy przed starszyzną domu z książki do nabożeństwa.

Wprawdzie nie mogłem prosto stanąć na piecu, ale za to klęczeć na nim było całkiem wygodnie. W ciągu dnia klęczałem tam oparty łokciami i niby z okna wieży kościelnej obserwowałem rynek wielkiego miasta, za jaki uważałem naszą rodzinną izbę. Nic tu na pozór się nie działo specjalnie ciekawego, ja jednak doświadczałem podczas tych obserwacji tysiąca wzruszeń. Patrzyłem na wiecznie krzątającą się matkę i pomagającą jej najstarszą siostrę Anielę, przyglądałem się drobnym pracom albo zabawie starszych dzieci.

(„*Moja mama, ja i reszta*”, rozdział: „*Apartament na piecu*”)

Fragment 2

Rano wypuszczano spod wielkiego pieca nocujące tam kury, które przed wypędzeniem na dwór karmiono w izbie. Miałem wtedy dużo uciechy, gdyż kury nie zadowalały się rzuconym im na ziemię pożywieniem, ale fruwały na stół, na okno, ławy i inne sprzęty. Kot, mój ulubieniec, zwykle przestraszony agresywnością ptaków wskakiwał trzema ogromnymi susami do mnie na piec i, przyczajony obok, patrzył z wystraszoną miną na samowolne panoszenie się pierzastej gromady. Mrużył przy tym oczy ze strachu, a ilekroć zdarzało się, że któraś kokosz, rozwinawszy skrzydła, próbowała lotu ku naszej twierdzy, zmykał z murka co tchu, chowając się pod moją pierś pochyloną nad występem łączącym wysoki piec z kominem.

Zdarzało się więc tak, że kot, choć z rodziny drapieźców, musiał ustąpić placu kurze. No bo jak to? Kot Burek stawiał się odważnie i nie ustępował z placu boju wielkiemu kudłatemu kundlowi Łyskowi, gdy czasami spotkali się, a tu przed kurą uciekł, nawet nie próbując walki? Widać po stronie pierzastych jest większa siła i bojowość.

Zazwyczaj po wypuszczeniu jej spod pieca plądrowała skrzydlata gromada po mieszkaniu. Dopóki ostatnia kura nie zniosła swego cennego daru, nakazywano nam wszystkim zachowanie spokoju i bezwzględnej ciszy. Jaja były bowiem w naszym domu głównym dochodem, umożliwiającym nabycie soli, kupno kwarty kaszy czy innych najpotrzebniejszych drobiazgów do życia. Kury stanowiły dla nas świętość, a jaja uchodziły za przysmak, którym mogliśmy w bardzo znikomej ilości raczyć się raz w roku, to jest podczas świąt wielkanocnych.

Z wysokości więc mojego apartamentu patrzyłem codziennie z przyjemnością i uznaniem na wielką, jak mi się wówczas zdawało, gromadkę kurzą. W późniejszych latach przekonałem się jednak, że nie było ich nigdy więcej niż mendel.

(„*Moja mama, ja i reszta*”, rozdział: „*Apartament na piecu*”)

Fragment 3

Nie wiem, ile dni organizm mój bronił się przed niewiadomą chorobą, gdy jednak odzyskałem przytomność, byłem pewny, że zbudziłem się po kilkugodzinnym śnie. Przez łyzy zobaczyłem siedzącą obok łóżka ciotkę Hanuskę. Siwe jej włosy zwinięte były z tyłu głowy w śmieszny kubek, podobny do główki czosnku. Na wieść o mojej chorobie sprowadziła się do nas bez prośby, prawie na stałe, nie odchodząc nigdy od mojego łóżka.

Kiedy wieczorem tego dnia wróciła matka razem ze starszym moim rodzeństwem do domu, siedziałem w łóżku obłożony poduszkami i piłem chyba pierwszy raz w życiu gorącą herbatę z cukrem i cytryną. Przegryzałem bułką, tak zwaną kajzerką, posmarowaną miodem. Obok mnie siedział na pieńku sosnowym dziadek w ogromnym kapeluszu i uśmiechał się tajemniczo.

- No, Maryńka, ozdrowiłem ci chłopaka, pożryj, jak siedzi i je. Mnie Pon Bóg natchnął, cobym dziecko ratował. Widziałyście wszystkie, jakem mu co dzień dwa razy te krople do rumianku dawołem i łyżeczką do gęby wlewołem. Wiecie, co to było? To było włośnie życie, co go ratowało od najgorszego. A wiecie wy, co to są pszczoły? Mam parę uli i nie tyła dla miodu je trzymom, co żeby się od nich uczyć, jak na świecie żyć należy. Tam u nich tako gospodarka, że każde swoje robi, a na drugie się nie ogląda. A wszyscy słuchają gospodyni, co się nazywo matka. Ona jest dużo więk szo od innych pracujących pszcół. Wszystkie pszczoły żyją krótko, jakieś tam pore tygodni. A matka żyje długo. Bo - ciągnął dalej dziadek - odżywia się osobnym nektarem, co jej daje więk szy wzrost i dłuższe życie. To jest najlepsze lekarstwo na wsieliniejakie choroby. Próbowałem i nie pomyliłem się.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Apartament na piecu”)

Fragment 4

Tymczasem życie toczyło się zwykłym trybem. Dzień w dzień matka i starsze moje rodzeństwo przebywało poza domem w pracy czy w służbie u kmieci. Czasami ojciec grał na skrzypcach. Siedzieliśmy wtedy z Wojtkiem cicho, zasłuchani w dziwaczne, piszczące tony wychodzące spod smyczka poruszanej ręką ojca. Mogliśmy wtedy całymi dniami nie jadać i nie czuliśmy głodu.

Każdy jarmark w mieście powiatowym czy niedalekim miasteczku był dla nas niecodziennym wydarzeniem. Matka nasza udawała się tam, by sprzedać przez wiele dni skrzętnie składane jajka, osełkę masła czy nienośną tłustą kokosz. Z czasem wzięła się do handlu bydłem. Była to kobieta niespożyta, a ciężkie warunki życia zmuszały ją do szukania zarobku, gdzie tylko się dało. Na każdy jej powrót z jarmarku czekaliśmy niecierpliwie, siedząc ściżbieni w zwróconym ku ścieżce oknie. Skoro tylko zobaczyliśmy jej sylwetkę, wybiegaliśmy naprzeciw boso, jak kto stał, choćby to była zima i mróz szczypał w pięty. Starsi odbierali od matki koszyk i szli przodem, my podskakując radośnie towarzyszyliśmy jej aż do wnętrza domu. Tutaj matka wyjmowała z kosza cukierki, obarzanki, a czasem nawet słoik moskalików. Przysmakami tymi dzieliła po równej części wszystkich w domu, bez względu na wiek i czy należał do rodziny, czy był obcy. Sama nie jadła. Dopiero gdy obdarowani zaczęliśmy odłamywać po kawałku i ją z kolei częstować, przyjmowała, tłumacząc się jednak:

- E, ja ta nie głodna, a na te smakołyki napozierałam się cały dzień, co wlażło we mnie. Samej to by mi całkiem nie smakowało. Z wami to może ta i przełknę kęseczek...

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Cielę w izbie”)

Fragment 5

Pewnego dnia zbudziłem się jak zwykle i rozglądałem się z wysokości zapiecka po izbie. Wetknięta w szczelinę pieca szczypa kopciała. Matka, jak co dzień o tej porze, gotowała strawę. Reszta spała. Ostry zapach gotujących się ziół unosił się w powietrzu. Nie to jednak mnie zaintrygowało. Przy słabym świetle kopcącej szczypy zobaczyłem, że w kącie drzwi izby znajduje się coś, czego wczoraj nie było.

- Mamo, co to tam leży w kącie? - zapytałem.

- Jak to co, nie widzisz? Cielę!

- A to skąd, mamó? - zapytałem zbiegając z pieca i ostrożnie podchodząc do leżącego cielęcia.

- Jak to skąd? Nie wiesz? Krowa się ocielila. Zanadto ciekawy.

- Kiedy, mamó, liże mnie. Taki ma język chropawy, jak mnie łaskocze!

Cielę lizało rzeczywiście moje gołe nogi, podsuwając się pyskiem coraz wyżej. Matka złapała mnie za rękę, trzepnęła lekko po tyłku i pchnęła ku mojemu wejściu na piec. Nie wiem czy z powodu braku miejsca w oborze, czy może za chłodno tam było dla świeżo urodzonego stworzenia, dość że u nas, a i w wielu domach naszej wioski, cielęta zaraz odbierano od krów i przynoszono do izby. W pamięci mej był to pierwszy wypadek. Zaprzyjaźniłem się też z cielakiem i prawie go nie odstępowałem. Siadywałem obok leżącego na słomie, głaskałem go po łbie i szyi. Patrzył na mnie wielkimi, wyłupiastymi oczami i zdawał się mówić:

- Ej, szkoda, żeś ty nie do jedzenia!

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Cielę w izbie”)

Fragment 6

Mniej więcej raz w tygodniu były pierogi z kartoflami albo z kapustą. Smakołyki te miały zwyczajny kształt przyrządzanych wszędzie w każdym domu pierogów. Ale w domu naszym czekała na ten przysmak spora gromadka łakomych żołądków, a robiły je tylko dwie matczyne ręce, wykonujące przy tym wiele jeszcze innych robót.

Normalnej wielkości pierogów trzeba by więc nalepić około sto pięćdziesiąt, licząc na każdą osobę dwadzieścia, co nie było wcale ilością daną do przesyty. Pierogów nigdy nie zostało w misce. Zazwyczaj brakło. Kiedyż to biedna matka mogłaby tyle tego narobić? Musiałaby wstać chyba o północy. Poradziła sobie.

Po co to ma się jadać dwadzieścia pierogów małych, inaczej eleganckich? Nawet najelegantsze włożone w usta, zostają zmiażdżone - zepsute i połknięte. Nie szkoda długogodzinnego trudu i pracy? Długo myślała nad tym matka i doszła do wniosku, że dwadzieścia sztuk małych pierogów można z powodzeniem zastąpić pięcioma, a nawet czterema dużymi. Pomysł ten zaczęła realizować i gotowała pierogi duże. Kpiarz i cynik Paweł porównywał je do krowich uszu.

Mnie osobiście było to nie na rękę, gdyż jednego było mi za mało, dwu jednak zjeść nie dawałem rady i zazwyczaj kawałek pozostawiałem nie dojedzony, co złościło i wyprowadzało matkę z równowagi. Starsi bracia zjadali „krowich uszu” nawet pięć. Ogromny i chudy jak szczapa dziadek, jeśli był czasami u nas na śniadaniu, zjadał ich tyle, ile było w misce, przy czym i mojego nie dokończonego także nie zostawił. Matka nazywała go „przepadzistym”.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Czarny Lejba”)

Fragment 7

Kiedy już od rozpalonej kuchni zrobiło się ciepło w domu, schodziłem z pieca, przyklękałem na ławie przed oknem i żelazną łyżką zeszkrobywałem grubą śnieg z zamrożonych szyb. Śnieg ten zjadałem także. Smakował mi nie gorzej niż dzisiejszym dzieciom słodkie śmietankowe lody. Ja o tyle byłem w lepszym położeniu, że mogłem zjadać się tym smakołykiem bez ograniczeń. Szyb w oknie było sześć, a śniegu na nich grubo na półtora centymetra. Po zeszkrobaniu i zjedzeniu śniegu pozostawała na szybie twarda powłoka lodu. Teraz z kolei następowało inne dla mnie zajęcie - chuchanie w jeden punkt tak długo, aż stajał lód na szkle tworząc jakby okrągłą soczewkę. Zamarzało to natychmiast. Aby temu zapobiec, wodziłem ciepłym palcem w krąg, niszcząc w ten sposób tworzące się listeczki mrozu.

Patrzyłem przez odtajany punkcik szkła na świat, podziwiając dokonane zmiany. Teren naszej wsi jest idealnie równy. Nie ma tu najmniejszych nawet dolin czy wzgórz. W ciągu dwu dni znudzona tym nieciekawym krajobrazem zima podmuchała sobie trochę, zamieniając go w krajobraz górzysty. Zaspas śnieżne przewyższały o drugie tyle stojące obok domy. Góry śnieżne opanowały starsze ode mnie dzieci. Z czego i jak kto mógł, klecił choćby najprymitywniejsze sanki, wciągał je na wysoką zaspę, stamtąd zaś na łeb na szyję ześlizgiwał się w dół. Nie szkodził żadnemu z nich mróz.

A ja? Patrzyłem w okno przez mały krążek odchuchanej szyby i marzyłem o tym, jak ja to urosnę i będę miał jak i inne dzieci portki, czapkę, a może nawet własne buty! Wtedy pójdę bawić się w śniegu i jeszcze bardziej będę dokazywał i koziołkował.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Śmierć ojca”)

Fragment 8

Do ojca miał przyjechać ksiądz. Gdy jednak po południu wróciliśmy do domu, zdziwiony byłem wyglądem ojca. Był czysto ogolony, spokojnie leżał i uśmiechał się do mnie.

- Chodź tu, Romuś - rzekł do mnie. - Odejdę, a kiedyś i ty przyjdiesz do mnie.

- Dobrze, tato przyjdę - rzekłem myśląc równocześnie, czy ja też sam trafię do ojca, czy będzie musiał mnie kto zaprowadzić?

Stałem obok łóżka. Głaskał mnie ręką po głowie i mówił:

- Skrzypce zostawiam tobie. Jak tylko podrośniesz jeszcze trochę - ucz się grać, a nie sam. Mama poprosi kogoś, co się na tym dobrze zna. Od niego nauczysz się rozmów muzycznych i poznasz duszę instrumentu. Jeżeli tę duszę potrafisz oswobodzić ze skrzypiec i pokazać ją tym, co będą słuchali twojej gry, będziesz mógł zadziwiać świat i ludzi i stać się szczęśliwym. Maryś - zwrócił się do matki skrzypce Romkowi, pamiętaj.

Od tego dnia ojciec leżał cicho, prawie nie interesując się, co się wokół niego dzieje. Często jednak kazał sobie podawać skrzypce, na których coś tam niezrozumiałego piszczał. Ojciec nie był nadzwyczajnym skrzypkiem. Opowiadali ludzie, że grał czasami coś takiego, czego ani zaśpiewać nie było można, ani pod nogę do żadnego tańca się nie nadawało. Ot, darł smykem po strunach jakieś dziwolągi melodyjne, ni to przyszył do czego, ni przyłatał. Taki z niego był muzykant dziwaczny. Dobrze jeszcze było, gdy podczas tej swojej gry nie płakał, bo i to się zdarzało.

Należało przypuszczać, że grając podczas choroby modlił się do Boga w ten sposób. Trudno zgadnąć. Być może, że ta modlitwa więcej podobała się Stwórcy, aniżeli automatyczne klepanie wyuczonych na pamięć pacierzy.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Śmierć ojca”)

Fragment 9

Teraz zabrała się matka do przyrządzania potraw wigilijnych. Nie mogło braknąć niczego na stole, co jest poświęcone tradycją. We trzy z ciotką i siostrą Anielą uwijały się, siejąc mąkę, roztaczając ciasto, coś tam siekając i trąc. Owocowo-korzenny zapach roznosił się po izbie, wiercił w nosie, dostawał się do żołądka i wywraçał go do góry podszewką. Byliśmy głodni jak zgonione charty. Starszym braciom czas mijał szybciej, wykonywali bowiem różne roboty. Rąbali drzewo, rznąli sieczkę. Ja z Wojtkiem zajęci byliśmy jedynie patrzeniem na porozkładane wszędzie żarcie.

Żeby choć ta gwiazdka jak najprędzej weszła - marzyliśmy. Niestety, nie tylko pierwsza pokazała się gwiazda, całe niebo było nimi już usiane. Oparłem ręce na murku przypiecka. Złożyłem na nich głowę i zasnąłem. Zbudził mnie niesamowity wrzask Wojtka. Popatrzyłem na izbę. Matka szorowała mydłem jego głowę. Wiedziałem, co to znaczy. Zapchałem się w kąt na piecu i nakryłem z głową. Nie dane mi było jednak zasnąć. Matka przysłała i po mnie.

- Chodź no, Romuś, będziemy się myć. Nie można tak siadać do Wigilii nie umytym.

- Ale, mamó, nie mydłem - prosiłem.

Ciepła woda zalała mi głowę a silne ręce tarły tak mocno, jak gdyby chciały przeformować głowę w jakiś inny kształt. Spłukała w końcu czystą wodą, postawiła na nogi i wycierała całego twardym, grubym płótnem. Wdziałem świeżą zgrzebną koszulę i byłem gotów zasiąść do świątecznej kolacji.

Teraz uprzątnano niepotrzebne graty z izby, którą trzeba było odpowiednio na święta udekorować. Wielką wiązkę żytniej słomy rozścielono na środku izby. W rogach postawiono po snopie różnych zbóż. Pod stołem i na stole ułożono grube warstwy drobnego pachnącego siana i nakryto białym płótnem. Tu położyła matka wiązkę opłatków i szklankę z miodem.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Śmierć ojca”)

Fragment 10

Chłopak był synem ubogiej wdowy, której malutki ogródek i wałca się chata graniczyły z wielkim obejściem rodziców Marynki. Jasiak wraz z matką i siostrą wynajmowali się na każde zawołanie i do każdej pracy u kmieci. Najczęściej pracowali u opiekunów Marynki, których myśmy potem nazywali „dziadem” i „babką”.

Jasiak miał zamiłowanie do śpiewu i muzyki. Był przy tym wielkim kpiarzem i wesołkiem. Żartował najczęściej sam z siebie, wystawiając na kpiny swoje wiecznie podarte portki i za dużą na jego wzrost, pozostałą mu po ojcu, a pamiętającą chyba czasy Kazimierza Wielkiego, kapotę. W jakiś tam, sobie tylko znany sposób, wydebił skądś skrzypce. Chował się z instrumentem w ciche, ustronne miejsca i dotąd drapał smyczkiem po strunach, aż wyszły z tego rzępolenia jakieś zrozumiałe melodie. Poświęcając wszystek wolny czas ćwiczeniom zdołał na tyle opanować kunszt muzyczny, że zaczęto zapraszać go do gry na chrzcinach, weselach czy innych okazjach.

Mieszkający w sąsiedztwie Jasiak i Marynka znali się od dzieci. Niewiele jednak bawili się razem. Nie pasowało przecież kmiecej córce mieć za towarzysza dziadowskiego wyporka. Podczas nieczęstych spotkań obrzucali się zwykle przezwiskami.

Uprzykrzyło się takie życie wesołemu z natury i lubiącemu towarzystwo Jaśkowi. Za to, gdzie tylko się dało, w każdy wolny od pracy czas, wynajmował się do grania. Dusił zarobione pieniądze, oszczędzał. Obdarł się przy tym, że został tylko w jednych portkach i płótniance, otrzymanych od gospodarzy. Grywał po nocach, w dzień pracował w polu. Dziwili się ludzie. Co się z tym chłopcem stało? A on postanowił tylko rzucić z siebie hańbiące przezwisko – „dziadowski wyporek”. „Muszę coś zdobyć własnego. Nie pozwolę nazywać się „dziadem” - myślał z uporem.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Marynka i Jasiak”)

Fragment 11

Wesele Marynki wypadło w czasie karnawału. Długi szereg sań formował się przy zagrodzie, ażeby państwa młodych i weselnych gości zawieźć do odległego o milę kościoła. Wszystko to ubrane gałązkami jedliny, papierowymi, o różnych kolorach, wstążkami i kwiatami, wyglądało wspaniale. Konie wieś miała liche i zwłaszcza zimą źle utrzymane, i źle odżywione. Mimo to na dzisiejszą uroczystość, z zaplecionymi w kolorowe wstążki grzywami, z pozakręcanymi w tatarski tołub ogonami, przedstawiały się pięknie.

Każdy siadał, gdzie mógł, aby tylko jechać. Na pierwszych sankach siedział obok Marynki zsiniały od zimna Jasiak. Wprawdzie włożył pod wyszywaną koszulę ciepłą podwłóczkę i na nogi, pod ciemno granatowe spodnie, naciągnął bawełniaki. Miał też pod nowiutką płótnianką ciepłą, wełnianą, jedyną posiadaną marynarkę. Nie pomagało to wiele. Ulitowała się w końcu nad nim siedząca obok narzeczona. Ubrana była w ciepły, wełniany żupan. Ponadto przyodziana dużą, wełnianą, ciepłą jak kozuch chustą. Było jej ciepło. Rozdziała chustę, narzuciła jeden jej bok na plecy chłopca opatulając go jak dziecko. Ażeby okrycia starczyło na dwoje, przysunęła się i przytuliła do niego.

Pierwszy to raz miał ją tak blisko siebie cichą, potulną, nie miotającą wyzwisk i nie wygrażającą pięściami. Jakby nie chcąc sponżyć tej miłej sytuacji, nie odezwał się ani słowem. Ukradkiem, jak złodziej, począł wsuwać prawą rękę poza jej plecy. Objął ją wpół i mocno przycisnął do siebie. Było mu ciepło i tak dobrze, że w duchu życzył koniom, aby się zmęczyły i zwolniły biegu.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Wesele i po weselu”)

Fragment 12

O pięćdziesiąt metrów od naszej zagrody stała nie zamieszkała przez nikogo chałupa - tzw. pustka. Okoliczna ludność wierzyła, że takie pustki są nawiedzane przez złe duchy i wiedźmy. Pustek takich było we wsi kilka. Widziano w niektórych z nich, zwłaszcza w stojącej obok naszego domu, światła przedostające się z wnętrza przez szczeliny zabitych deskami okien.

Pewnego popołudnia byłem wraz z obydwoma braćmi u szewca Zdąbały. Zebrało się tam dość duże grono nierobów, takich jak ja dzieci i starszych gawędziarzy. Jeden po drugim opowiadali własne, tak makabryczne przeżycia, że krew ścinała się w żyłach z wrażenia i strachu. Wieczór mijał szybko, ale w końcu szewc przestał pracować i zabierał się do łóżka. Trzeba było iść do domu. Noc ciemna, a dla nas droga wypada obok pustki.

W pewnej chwili idący przodem Wojtek stanął i zapytał z cicha:

- Paweł, co to?

Krótkowzroczny Paweł i ja spojrzeliśmy we wskazanym kierunku i kolana ugięły się pod nami. Wysoko ponad zboża sunęła biała, ogromna postać. Dziwaczne oczy świeciły czerwonym blaskiem. Z nozdrzy buchał ognisty dym. Długie jak u piły zęby wyszczerzone były i białym ogniem świeciły. Widmo zachrypiało jakoś strasznie i jednym ogromnym krokiem przesadziło pół drogi dzielącej nas od niego. Nie dbający już o nic Paweł pierwszy dał drapak. Jak sarna gnałem za nim.

W ciągu dnia cała wieś wiedziała już o tym i komentowała po swojemu. Właściwi sprawcy, koledzy moich starszych braci, śmieli się w kułak. Chcąc sprawdzić odwagę Pawła zainscenizowali ten żart. Jeden z nich świetnie chodził na wysokich szczydłach. Dwie białe płachty oraz tykwa z czaszką dopełniały reszty.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Wesele i po weselu”)

Fragment 13

Zima była mroźna i słoneczna. W ówczesnej Galicji nie budowano żadnych zakładów pracy i nie stawiano za wiele szkół. Do orki w polu nie trzeba wszak algebry, a dosadne, mocne polskie słowa, przechodziły z ojca na syna i bez szkoły. Rzadko kto może dłuższy czas żyć w kompletnym nieróbstwie. Choćby dla rozrywki trzeba się czymś zająć. Po oporządzeniu więc inwentarza zabierano się jak wieś długa i szeroka do gry w karty. Nie grano o pieniądze. Kogóż by tam stać było przegrać? Do wygrania każdy byłby gotów.

Grano przeważnie w siarkę - czyli zapałki. Pudełko sto sztuk - kosztowało centa. I to, jeśli się komu zdarzyło przegrać dwa, trzy pudełka - ze strachem wracał do domu, gdzie nie spał do rana, martwiąc się - co on też rano powie żonie i jaką otrzyma odpowiedź. Jeśli kogo nie trzymało się szczęście, zarzucał hazard, a przechodził na „durnia” czy „kiksa”. I tu, mimo że strat materialnych nikt nie ponosił, dochodziło przy stoliku do scen dramatycznych. Nie wolno mieć szczęścia bezkarnie – choćby w kartach, nawet podczas gry w głupiego durnia. I tu zazdrość ludzka nie daje żyć.

W karty zabawiali się ludzie starsi, żonaci przeważnie. Lubiła to moja matka i sama grała namiętnie. Była jednak za mało sprytna, nie potrafiła oszukiwać, Sama natomiast była oszukiwana i przegrywała często. Ej, zmiłuj się, Panie, jeśli złapała kogo na cygaństwie! Czasem tak się zapomniała, że rzucała kartami o stół, aż się po całej chałupie rozlatywały i rozpędzała całe towarzystwo. Dla tak wzburzonej najlepszym lekarstwem była praca.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Po kolędzie”)

Fragment 14

Osobną rozrywkę w tych czasach stanowili kolędnicy. Była to swego rodzaju oświata i kultura wioskowa. Ileż to było tych zespołów przeróżnych. Z szopką, gwiazdą, kozą, niedźwiedziem i wiele, wiele innych. Coraz to przychodził inny zespół i produkował się według własnego programu. Gromady dzieci ciągnęły za cudownie ubranymi kolędnikami i wchodziły za nimi do chałup, by przyglądać się przedstawieniom, widoku tego nigdy niesyte. Za czasów życia ojca w domu naszym robiono próby, szyto kostiumy. Skrzypek ojciec należał zawsze do któregoś zespołu jako muzykant.

Po każdym występie odbywały się tańce, podczas których ministrowie króla Heroda śpiewali pieśni na cześć dorosłych, a nawet smarkatych córek gospodarzy domu. Zachwycone pieniami dziewoje wyciągały ostatnią koronę od rodziców, aby tylko śpiewających jak najhojniej wynagrodzić. Wieczorem, po ukończeniu przedstawień, rozliczali się kolędnicy z zarobków.

Największymi sukcesami cieszyli się kolędnicy z szopką. Oryginalnie wykonane marionetki porywały oczy dzieci i starszych. Prowadzone umiejętną ręką ukrytego pod szopką człowieka, wykonywały ruchy niczym żywe istoty.

Ojciec mój należał do zespołu z niedźwiedziem. Był to zespół budzący grozę u dzieci. Biegły w prawdzie za nim, lecz nie zbliżały się zanadto. Niedźwiedź był straszny. Okryty był skórą barana, zwróconą do góry długim włosiem. Łeb miał wielki, pysk potworny. Gdybyż przynajmniej nie ryczał tak strasznie. Aż serce w piersiach bić przestawało na odgłos tego ryku. W czasie występu, pod kierunkiem poskromiciela, stawał się łagodny do tego stopnia, że dawał się chętnie dosiadać dzieciom, ale rzadko które dziecko korzystało z tego wierzchowca.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Po kolędzie”)

Fragment 15

Wieś była bardzo wierząca, a najmniejszy kontakt z księdzem - najwyższym zaszczytem i honorem. Z rzadka wprawdzie, ale od czasu do czasu, spotykał ludzi i ten zaszczyt. Pewnej niedzieli wróciła matka z kościoła po sumie. Skoro tylko zjedliśmy obiad, odezwała się do nas w te słowa:

- Głosił dziś ksiądz podczas kazania, że w tym tygodniu będzie chodził w naszej wsi po kolędzie. Dzięki Bogu, nareszcie się doczekałam. Chałupa nasza nie poświęcona jeszcze. Tylko musimy przygotować dom odpowiednio, żeby był godny poświęcenia.

Następnego dnia nastął u nas istny sądny dzień. Zdejmovano ze ścian obrazy i obrazki, których wisiała nieprzeliczona ilość. Począwszy od zapiecka aż ku samej nalepie, ciasno do siebie przytuleni, wisieli tu w dwu szeregach chyba wszyscy święci, jacy mają zaszczyt zamieszkiwać niebo. Przeważali mężczyźni, starsi, brodaci. Przedzierały ich same tylko młode, o ładnych twarzach święte. Najwidoczniej ani jedna stara baba nie dostała się do nieba ani też nie została świętą. Pozbawione naturalnej kryjówki pająki ganiały po ścianach jak oszalałe, nie wiedząc, gdzie się podziać. Niestety, czekała je zagłada.

Nie wierzyłem własnym oczom i nosowi. Z naszej zwykłej, wioskowej izby wyczarowano istny pałac. Wyrównane i wylepione na nowo ściany aż lśniły białością wapna. Wyszorowane twarze świętych zdawały się uśmiechać do nas czy też do swych wiszących, także odmłodzonych towarzyszek. Ale, o Boże święty! Cóż to za cudo wisi na ścianie. Pod szafką zwisała żółta tarcza i na długich, połyskliwych łańcuszkach dwa podłużne ciężarki.

- Co to jest, mamó?

- Zegar, nie widzisz?

- Widzę, a na co on, mamó?

- Żeby chodził - odpowiedziała.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Po kolędzie”)

Fragment 16

Ksiądz, wysoki człowiek, roześmiał się, podszedł za piec i zdjął mnie z niego.

- Jak ci na imię, chłopcze?

- Romek.

- A przeżegnać umiesz ty się? Pokaż.

Przeżegnałem się, z dumą wywijając ręką. Chwaląc, ksiądz przerwał mi i w nagrodę dał garść cukierków.

- Bardzo pięknie, mój chłopcze. Ty pewnie chciałbyś chodzić do szkoły, nieprawda?

- Prawda.

- A czemu tam chciałbyś chodzić? Uczyć się chciałbyś, co?

- E, nie uczyć. Chciałbym do szkoły, bo tam dużo dzieci chodzi, miałbym się z kim bawić.

- Taak - przeciągnął ksiądz, jakby zawiedziony. - A jak urośniesz, to czym chciał byś być?

- Koniem - odpowiedziałem.

Moja matka siedziała spąsowiała. Lubiłem konie bardzo i podczas zabaw z rówieśnikami brałem zazwyczaj rolę konia. Ksiądz jednak nie rozumiał się na rzeczy. Zaczął mi też tłumaczyć:

- Widzisz, synku, koń to zwierzę. Pójdiesz po śmierci do nieba. A koń nie.

- A nieprawda - sprzeciwiałem się - koń też pójdzie do nieba.

- Jakże to koń pójdzie do nieba? Nie ma przecież duszy, nie modli się i do kościoła nie chodzi - tłumaczył mi.

- E, to ty nic nie wiesz - protestowałem, pewny siebie. - Konie czynią też dobrze i do kościoła chodzą. Jeszcze ludzi tam wożą.

Spodobała się moja odpowiedź widocznie, bo wszyscy się śmieli. Ksiądz zapytał mnie jeszcze:

- To które zwierzę oprócz konia, według ciebie, dostanie się jeszcze do nieba?

- Nasz kot - odpowiedziałem bez zająknięcia.

- Kot, a ten znowu za co?

- Kiedy siedzi przy mnie na piecu, to zawsze mruczy. Mama gadali, że on tak pacierz mówi. A kto pacierz mówi, do nieba pójdzie.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Po kolędzie”)

Fragment 17

Jednego dnia, po południu, zapowiedziała mi matka, że jutro w niedzielę, zabiera nas na dziadków wóz i zawiezie do kościoła. Miały to być pierwsze od chrztu św. moje odwiedziny przybytku modlitwy. Matka ubrała mnie w nową koszulę i wyczyszczony kombinezon. Oglądałem się po sobie z zachwytem.

Na stole stało oprawione w drewnianą ramę lustro. Zazwyczaj przedmiot ten był chowany w kufrze, a więc niedostępny. Dzieciom, a nawet i starszej młodzieży, przeglądanie się w lustrze zabronione było w naszym domu. Było to grzechem, paczyło bowiem młode charaktery, stwarzając niezdrową próżność i pychę.

Prawie mimowolnie wziąłem do rąk lustro. Spojrzawszy sobie w twarz, zmartwiałem. Do tego czasu uważałem się za chłopca ładnego, ładniejszego przynajmniej od tych rówieśników, których sam uważałem za brzydkich. Przeglądając się teraz w lustrze, wcale nie miałem miny zwycięzcy. Z lustra patrzyła na mnie ni to mordka kota, ni głowa sowy. Nad czołem, z prawej strony, strzelała prosto w górę równa i prosta, jak miotełka z ryżowej słomy, ściana. Poplułem na dłoń i spróbowałem układać ją do tyłu, przodu, na bok. Jak stalowe sprężyny podnosiły się włosy, skoro tylko dłoń odjąłem.

Czoło, policzki i nos, ku mojemu zmartwieniu, gęsto usiane były rudawymi piegami. Ale nos? A niech to lichy weźmie z takim nosem! Były w tamtych czasach kartofle żółtej barwy, nazwane adresonami. Przekrajać takiego adresona i przylepić mi do twarzy, oto była cała sztuka moich rodziców. Nos jaki był, taki pozostał. Jak jakieś utrapienie noszę go do dziś takim.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Po kolędzie”)

Fragment 18

Władek, jako najstarszy z nas, czuł się po śmierci rodzica czymś w rodzaju ojca. Imał się pracy, jaka tylko podeszła pod rękę, aby dopomóc matce w wykarmieniu czeredy zawsze głodnego rodzeństwa. W wolnych chwilach tylko, przeważnie nocami, szył i naprawiał buty. Wkrótce opanował szewstwo do tego stopnia, że przewyższał swego majstra. A był to kunszt nie byle jaki.

Trzeba było samemu - po zmierzeniu, ukroić formę ze skóry i uszyć ją dratwą, drobnym, równym ścięciem. Przystrugać kopyto czy prawidło także było obowiązkiem szewca. A przecież i w tamtych czasach było się niewolnikiem wszechwładnej mody. Karbowane czy spuszczone buty z cholewami, misternie w kształcie kielicha rzeźbione obcasy, wysokie do pół łydek sznurowane trzewiki, albo sztyblety na gumie. Do każdego wzoru doszywano jeszcze przemyślne ozdoby. A wszystko ręcznie - maszyn do szycia w owych czasach nie spotkał we wsi, ani na lekarstwo.

Cały ten artyzm pojął najstarszy mój brat jakoś niesłychanie prędko. Współmieszkańcy rokowali, że będzie jednym z ważnych rzemieślników wsi. Matka cieszyła się, że zostanie sławną na całą okolicę - matką szewca.

Ej, marzenia, marzenia. Przysłowie mówi: „co człowiek w głowie swej uradzi, tego do skutku nigdy nie doprowadzi”. Władek rwał się do zawodu. A przy tym chciał się uczyć. Pragnął umieć chociażby czytać i pisać. Szkoły nie było wówczas jeszcze. Wołowik - pisarz gminny - dawał lekcje, za niewielką opłatą. Zapłacił Władek za naukę dla siebie i siostry Anieli. Chodzili w każdym oznaczonym na lekcję czasie, ucząc się pilnie. Wkrótce, brat czytał płynnie druk i pismo ręczne oraz jako tako pisał. Siostra Aniela także opanowała sztukę czytania. Pisać, niestety, nie nauczyła się nigdy. Rówieśnicy ich nie postarali się nauczyć i tego.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Władek”)

Fragment 19

Prowadząca do rzeki droga skręcała w lewo. Był to początek wsi i droga zabezpieczona była przed ucieczką inwentarza z pastwiska w pole wielkimi wrotami. Nie chciało się jadącym na furach woźnicom złązić, otwierać tych wrót i zapierać za sobą. Od tego byliśmy my, smarkacze. Całymi dniami siedzieliśmy na żerdzi wrót, oczekując na nadjeżdżające furmanki. Braliśmy wtedy we dwóch ciężki słupek wrót i otwierali na rozcież, po czym stawialiśmy przy nich, jak honorowe szyldwachy przed królem, patrząc w oczy przejeżdżającemu. Taksa była taka: jeden cent za jednorazowe otwarcie i zaparcie wrót. Nie wszyscy dawali. Wielu z nich kiwało pobłażliwie głową, obiecując:

- Dostaniecie, jak pojedę nazad. - Jadąc z powrotem powtarzali to samo.

Niedługo jednak jeździł taki kanciarz przez otwarte przez nas wrota. Najwyżej jeden dzień. Buntowaliśmy się, chociaż prosił. Staliśmy lub siedzieli obojętnie ani zwracając uwagi na jego obietnice. Kiedy wygrażał batem, uciekaliśmy parę kroków oczekując, aż odjedzie. Sknera taki nie miał już u nas wiary i jeśli chciał, abyśmy mu otwarli, musiał płacić z góry. Klienci stali płacili ryczałtem, Pięć centów rano przy pierwszym przejeździe. Obsługiwani byli solidnie. Był to, jak na nasz wiek, niezły zarobek, dochodzący czasami do dziesięciu centów na dobę. Niestety, chłopców było dużo, a zatem konkurencja. Biliśmy się też czasami o te wrota, aż do pierwszej krwi z nosa. Przeważnie jednak pracowaliśmy kolektywnie, przy czym jeden zwykle był inkasentem i kasjerem, drudzy utyłani po pośladki w błocie, pracowali.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Przy wrotach”)

Fragment 20

Do szkoły rwałem się. Broń jednak Boże, nie do nauki. Anim o niej myślał. Przede wszystkim chciałem się wymigać od pasienia bydła. Po drugie - moi rówieśnicy szli do szkoły, a ja lubiłem towarzystwo. W przyjaźni byłem wierny.

Zbliżał się koniec wakacji szkolnych. Miałem już kupioną oprawioną w drewniane ramki tabliczkę z przywieszonym do niej na sznurku rysikiem i kawałkiem gąbki. Z nogawki starych zgrzebnych portek uszykowałam mi mama torbę.

Byłem opanowany przez dwie namiętności – rysunki i śpiew. Ta druga namiętność nie opuściła mnie nigdy. Pięknego śpiewu słuchałem z przyjemnością i zawsze chętnie śpiewam do dziś. Gryzła mnie natomiast wada wymowy. Osiem lat miałem już daleko za sobą, a głoski „r” nie potrafiłem wymówić. „R” wycharkotywałem jak Francuz albo zastępowałem głoską „ł”. W obu wypadkach narażałem się na kpiny i przedrzeźniania, co przyprawiało mnie o rozpacz.

Aż jednego ranka, sprzecząc się z Wojtkiem o coś tam, całkiem niespodzianie i mimo woli język mój zadrgał dźwięcznie. Serce zamarło we mnie z radości, ale i z obawy, czy mój uelastyczniony język nie zamieni się w kopyść z powrotem. Wypadłem na dwór i jak na skrzydłach pędziłem miedzą w pole. Po drodze warczałem bez przerwy, jakbym się ze stu psami drażnił.

Należało ruszyć teraz między ludzi. Trzeba przecież popisać się niezwykłą umiejętnością. Mój geniusz bujał w podniebnych przestworzach i za nic sobie miał przyziemną prozę czy przynależne zwykłym ludziom czynności. Melodia nasuwała mi się sama. Tym bardziej, że chciałem się popisać nowo zdobytą umiejętnością. Po pokonaniu ostatniej trudności wymowy poczułem się już zupełnie dorosły.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Rogaty wierzchowiec”)

Fragment 21

Na pastwiskach zaroilo się znowu. Zwolnieni od obowiązków uczniowskich rówieśnicy oddawali się najwymyślniejszym zabawom. Od najwcześniejszego rana do zmroku bez przerwy było słycać uciészne krzyki, bojowe nawoływania czy sporadyczne płacze. Uczęszczający bowiem do szkoły wiedzieli już coś niecoś o wojnie i próbowali swych zdolności. Na konopnych sznurkach powiesili sobie u pasów drewniane, obosieczne miecze. Na plecach deszczułki imitujące strzelby. Nawet podczas największego gorąca każdy musiał mieć na głowie jakąś czapkę, przymocowaną pod brodą sznurkiem.

Jedni byli kawalerią inni piechotą. W obu formacjach służyły też dziewczęta. Podczas parad te ostatnie przedstawiały się dzielnie. W ciężkich bojach jednak szły w rozsypkę i podawały tył w panicznej ucieczce. Za chwilę zachodziła nas cichaczem, z flanki jej matka z miotłą w rękę. Groźny to był oręż, ponieważ w ułamku sekundy potrafił zlikwidować najzażartszy bój.

Uciekali nie tylko wojujący. Zrywali się z ziemi ranni i zabici, szukając każdy na swoją rękę drogi ucieczki. Na pobojowisku pozostawał tylko porzucony sprzęt wojenny.

Lubiłem te zabawy ogromnie, choć nieraz wracałem do domu kulawy czy z podbitym okiem. W moim oddziale służyły trzy dziewczynki. Były one tak dzielne i zapalczywe, że raczej wydarłyby przeciwnikowi oczy, aniżeli poddały się czy uciekły. Bitkę zresztą traktowały nie jako zabawę, lecz serio. Płakały z bólu, ale broniły się i atakowały do ostatka. Nie słycały tłumaczeń w rodzaju: „Jużes zabita - legaj na ziemi i nie ruszaj się”. Szkoda gadać, nie legła żadna z nich.

Oddział nasz był kawalerią. Była to sztuka nie lada, zwłaszcza fiknięcie w tył obydwoma nogami na raz, bez upadku. Ćwiczyliśmy to trzymając się początkowo jakiegoś trwałego przedmiotu. Dochodziliśmy do takiej wprawy, że mogliśmy fiknąć nawet na wysokość głowy i stawać na nogi z powrotem.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Rogaty wierzchowiec”)

Fragment 22

Z bratem Wojtkiem posiadaliśmy do spółki jeden kapelusz. Skąd się w naszym domu wzięło to rude, dziurawe nakrycie głowy, sam nie wiem. Ale na razie dobre było i to. Nawet podczas upałów nie było wówczas w modzie chodzić bez kapelusza. Zresztą, najwyżej dwa razy do roku strzyżone łby zmierzwione były jak niedźwiedzie kłaki i trzeba było czymś je przykryć.

Ponieważ trzecia i czwarta klasa uczyły się przed południem, a pierwsza i druga po południu, mogliśmy więc bez przeszkód paradować w tym kapeluszu na zmianę. Spotykaliśmy się po drodze. Czwartoklasista Wojtek oddawał dziurawe nakrycie głowy pierwszoklasiście Romkowi. Wojtek wracał do domu, jak to u nas się mówiło, bez głowy. Ja nasadzałem to paskudztwo na zjeżony łeb, na bakier i szedłem, jak wszyscy uczniowie, do szkoły należycie ubrany. Stan taki nie mógł trwać wiecznie, ale mamy nie tylko na kapelusz, lecz nawet na rysik nie było stać.

Nawracałem więc krowy na pastwisku starszemu od siebie Józefowi Flisowi, synowi parobka folwarcznego. Za te posługi ofiarował mi on swój stary kapelusz. Wypraliśmy go z Wojtkiem w putni przy studni, wyżełi z wody i wymaczali w serwatce. Nie wyciskając serwatki uformowaliśmy go w piękne kółko i ułożyli zawadiackie rondo. Przez dwa dni sechł pod ścianą do słońca. Wysechł i stwardniał na kamień. Wojtek przyszył do niego twardą nicią kilka piórek z pantarki. Ani par francuski nie miał podobnego cacka, tym bardziej, że nasz kapelusz pachniał. Była to woń ni to zleżałego sera, ni to sfermentowanego kwasu kapusty. Czuć go było daleko.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Pierwszy rok edukacji”)

Fragment 23

Przy najbliższej sposobności kupiłem widelec i nóż stołowy. Mocne, żelazne. Chłopak byłem już krzepki, ręce miałem drapieżne, a widłami do gnoju wywijałem już jak zwykłym patykiem. Liczyłem się więc z tym, że taki drobny przedmiot w moich niewyuczonych rękach może prysnąć za lada mocniejszym naciśnięciem. Postarałem się też i o talerz z żelaznej blachy. Były to przedmioty nie tyle do używania, co raczej sprzęt ćwiczebny.

Wyjazdy nie zawsze były i wolny od nich czas spędzałem przeważnie w stajni. Szpikulce widelca wyostrzyłem, że ostre były jak szewskie szydła. Nóż także. Naznosiłem do stajni buraków i głąbi kapuścianych. Klękałem na słomie i stawiając na pieńku drzewa talerz ujmowałem pełnymi garściami sztuce i rznąłem na kawałki, rzucając je do żłobu pod pysk konia. Cieszył się kasztanek z tych moich zajęć, ale też prychał śmiechem po każdym zjedzonym kęsie, zdając się mówić:

- Durny chłopcze, rzuć mi całego buraka czy głąbia, mam zęby ostre, pogryzę łatwo. Przecież to można zdechnąć od śmiechu, patrząc, jak się mordujesz niezdarnie. – Biedne konisko myślało, że to dla jego wygody pot leję z umęczonego czoła, a ja nieszcześnie jeść się uczyłem po ludzku.

Mimo upartego treningu i późniejszych praktyk nigdy nie nauczyłem się należycie posługiwać wielorakimi przyrządami do naładowania brzucha. Najchętniej i najpewniej robiłem to ręką. Chcąc mieć piękne, giętkie biczysko, trzeba młodziutkiemu już drzewku obcinać gałązki. Późniejsze obcinania pozostawiają sęki. W każdym razie doksztalałem się o tyle, że podczas naszych wizyt w sąsiednich dworach nie wynoszono mi już, jak dzikiemu kotu, chleba na bryczkę. Wezwany szedłem do kuchni, gdzie z fantazją i pewnością siebie gestem wprawiałem w zdumienie gastronomiczne boginie od chochli i kopyści umiejętnością trzymania dwu podstawowych narzędzi w rękach.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „We dworze”)

Fragment 24

Marcin był moim kolegą dnia powszedniego. Od święta i w wolnych chwilach związany byłem przyjaźnią na śmierć i życie z Józefami: Szeliwą i Wenclem, którzy byli już w drugiej gimnazjalnej. Wszyscy trzej rozczytywaliśmy się w literaturze fantastycznej i podróżniczej i marzyliśmy o sławie, jaką zdobyli bohaterowie książek. Długo naradzaliśmy się, zanim uzgodniliśmy plan wyruszenia w świat, na własną rękę. Na wniosek pomysłowego i świetnego znawcy geografii, Józefa Wencla, postanowiliśmy wyruszyć do któregoś tam tropikalnego kraju Ameryki Południowej.

Podróż miała odbyć się wodą. Przy moście w Dąbrówkach kołysała się na falach Wisłoka dość duża i solidna krypa rybacka, uwiązana do przybrzeżnej wierzby powrozem. Mogła ona pomieścić nie tylko takich jak my trzech budrysów, ale i sienniki do spania, parasol od deszczu, parę bochenków chleba, omasty trochę i inne niezbędne w podróży rzeczy. Geograf, Józef Wencel, wykonał dokładną mapę i wypisał marszrutę do najmniejszego szczegółu. Trzy beczynnice leżące wiosła wystarczyć miały zupełnie. Aż do Bałtyku mieliśmy bowiem płynąć z biegiem rzek - Wisłoka, Sanu i Wisły.

Realizacja tego planu nie przedstawiała większych trudności. Trzymający na uwięzi krypę powróż można było przerznąć kozikiem. Oswobodzona z powroza popłynie z biegiem rzek bez żagli i wiosel. Gorzej przedstawiała się sprawa przepłynięcia mórz i dalszej podróży pełną niebezpiecznych krokodyli Amazonką. Ale wszystko to przewidział wytrawny żeglarz, Józef Wencel. Nie darmo pływał na krach lądowych zimą i brodził, tłukąc żaby, latem po wioskowych bajorach. Sporządził więc dokładny harmonogram zakupów, jakie mieliśmy poczynić w Gdańsku. Przewidziany był tam i maszt, i żagle, przyrządy nawigacyjne, żywność, broń palna i sieczna. Na to wszystko trzeba było jednak pieniędzy.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Saksy”)

Fragment 25

Pierwszy to raz miałem zobaczyć prawdziwy jarmark, imprezę w owych czasach zgoła niezwykłą. Jechali do miasta kupcy z okolicznych miast i miasteczek, aby przybyć jak najwcześniej i zająć najdogodniejsze miejsce na stoisku handlu. W odległości jednego kilometra od miasta, na każdym gościńcu bitym umieszczona była, na wkopanych po obu stronach drogi słupach, gruba żerdź poprzeczna z przyczepionym z jednej strony kamiennym obciążnikiem, z drugiej długim sznurem. Był to szlaban, czyli roгатka. Pobierane tu opłaty za wpuszczenie zwierząt do miasta zwały się rogowo-kopytkowymi. Zwolnione od opłat były konie posiadające białą maść od kopyt do kolan i z białą strzałką na łbie. Z rozkazu Najwyższej Kancelarii ulga ta obowiązywała we wszystkich krajach monarchii austriackiej, a powstała na skutek wynikłej z gorliwości władz fatalnej pomyłki.

Według starych podań, austriacki cesarz, Józef II, był w młodym wieku bardzo ekscentryczny. Wyrwał się spod krępującej go dworskiej etykiety, znikając na całe tygodnie z oczu rodziny, dworaków i doradców. Ubrany skromnie, dosiadał wierzchowca i incognito objeżdżał podległe jego berłu niezmiernie rozległe ziemie.

Podczas jednej z tych eskapad zaciekał się mocno jarmarkiem, na który dążyły wielkie rzesze ludności. Postanowił więc sam owo jarmarczne dziwo zobaczyć i ruszył, jak stał, konno. Aliście obsługujący roгатkę zamknął mu przed nosem szlaban, żądając pięćdziesięciu centów opłaty za wprowadzenie zwierzęcia na teren miasta. Nie wiadomo, czy cesarz był wówczas przy trzosie. W każdym razie najjaśniejszy pan odmówił opłaty, a egzekwującemu ją natrętowi pogroził harapem. Wierzchowiec cesarski był rzadko spotykanej jabłkowej maści z białymi do kolan nogami i takąż strzałką na łbie. Celem uniknięcia na przyszłość podobnego nieporozumienia Kancelaria Cesarska wydała dekret zwalniający od kopytkowego każdego konia wyżej wymienionej maści.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Na jarmarku”)

Fragment 26

W rogu rynku stał człowiek przy szafce, podobnej do szatkownicy buraczanej i - jak to się dzieje przy szatkownicy - kręcił wkoło korbą. Zamiast rozdrobionych buraków wydobywały się z szafki niesłychane dotąd tony przepięknego walczyka. Za chwilę jarmarczny wirtuoz wyciągał kręceniem korby ognistego oberka. Gromada młodych ludzi i dzieci otaczała go wokół. Stawałem na palcach nóg, aby nie tylko słyszeć muzykę, ale i artyści nie tracić z oczu. Przestał kręcić korbą i krzychał:

- Losy, losy, po dwa centy, losy!

Kupowały zwłaszcza podlotki o niczym nie myślące, jak tylko o miłości i porwaniu przez bogatego panicza do zaklętego zamku.

- Papużko, wyciągnij tej paniencie szczęśliwy los – rozkazywał kataryniarz przywiązany łańcuszkiem za nóżkę do katarynki barwnie upierzonemu ptakowi. Zadumany ptak spoglądał poważnie na podającą miedziaka dziewczę. Pochylał się potem nad pełnym kopert pudełkiem i krzywym jak sierp dziobem wyciągał jedną z nich, odrzucając na bok. Życząc najwyższego szczęścia wręczał kataryniarz kopertę roztrzęsionej z ciekawości dziewczynie. W wielkim skupieniu odczytywała ten los w towarzystwie przejętych ważnością chwili koleżanek. Losy zaopatrzone były w znaki zodiakalne.

- „...Dziewica urodzona pod znakiem byka” – czytała dziewczyna i wybuchnęła niepohamowanym gniewem. - Co, ja pod znakiem byka rodziłam się? A bodaj zdechła ta głupia papuga! - krzychała oburzona posiadaczka losu, rzucając horoskop na ziemię.

- A nie mówiłam ci - przekonywała ją koleżanka – że ta papuga nie tylko kłamie, ale jeszcze na złość czyni. Chodź na Stare Miasto, tam jest też taki wróż, ale u niego losy wyciąga biała myszka. Ta nigdy nie kłamie, a losy u niej same szczęśliwe.

(„Moja mama, ja i reszta”, rozdział: „Na jarmarku”)

Fragment 27

Po kilkunastu minutach normalnego marszu znalazłem się przed oknem rodzinnego domu. Świeciło się jeszcze. Tłumiąc rozpierające mnie wzruszenie, stałem jak urzeczony. W oknach naszego domu firanek nie było. - Po co? - mówiła matka. - Nic tu nie ma do ukrywania przed ludźmi. A dla parady? To trzeba by zacząć od budowy paradniejszej, całej nowej chałupy. Nie zanosì się na to, dzięki Bogu - drwiła ze swego ubóstwa.

Wodzić zacząłem oczami po wszystkich kątach izby. Nic tu nie było obce, najdrobniejszego sprzętu nie było nowego. Dobiegała już chyba północ. Z izby rodzinnego domu nie dochodziły ani dźwięki rozmów, ani dostrzegałem jakiegò krzątania. Mimo to lampa świeciła się i nic nie wskazywało, że zostanie rychło zdmuchnięta. Wzruszenie, które było już mnie opuściło, powróciło z powrotem.

Pod lampą przy stole, pochylona nad leżącą na ziemi wiązką fasoli, siedziała mama. Wyłuskując ze strąków białe, pstrokato ubarwione ziarnka, wrzucała je do stojącej na stole drewnianej miarki. Wpatrywałem się w nią jak w świętość. I jakkolwiek sprzęty w izbie wydały mi się podstarzałe nieco, ona przedstawiała się moim oczom bez zmiany: ba, jakby młodsza nawet. Po drugiej stronie stołu, na tej samej ławie, dziergając robótkę jakąś na drutach, siedziała najmłodsza z nas, rodzeństwa, siostra Milka. Stuknąłem lekko palcem w szybę okna i ruszyłem ku drzwiom sieni. Zanim jednak dosięgnąłem progu, trzasnęła żelazna zasuwka, drzwi otworzyły się na rozcież. Mama i siostra wybiegły witać mnie na dwór bosc.

(„Palacz z Hrabiofskiej Likierni”, rozdział: „W domu matki”)

Fragment 28

Z błogiego snu zbudziło nas wołanie matki, wzywała nas na dół. W izbie gwar jak na targowisku w czas dorocznego jarmarku. Wróciły z miasta wioskowe kurierki. Poszukująca niestrudzenie szczęścia w grze na przeróżnych loteriach stara Marszałkowa i zalotna, choć też posunięta w wieku, bogobojna Pankowa ciotka.

Pożyteczne to były niewiasty. Gdyby nie one, wieś nasza pogrążona by była w oparach ciemnoty, zabobonu i przesądów, jak za przeświatnych czasów panowania Austrii w Galicji. Kto zatem miał nieść na wieś naszą oświaty kaganiec, kto znosić przyfrunięte z krajów dalekich plotki albo dostarczyć lotem błyskawicy wiadomości o wydarzeniach zaszłych co tylko i prawie jakby każdemu przed nosem, jeśli nie obie wyżej wspomniane białogłowy?

Zapamiętałem je doskonale z czasów przedwojennych jeszcze, a przekonałem się pierwszego dnia zaraz po powrocie, że nie zmieniły swych zwyczajów ani na jotę. Daleko było do świtu jeszcze, gdy one już obwoławszy się przez okno, bez względu - deszcz leje lub skwar słoneczny w godzinach późniejszych się zapowiada - idą w noc, opatulone chustkami: jedna do kościoła dowiedzieć się, czy w poczet świętych wybrana nie została, druga na „Ferlag”, aby się przekonać, że i tym razem nie została milionerką jeszcze. Resztę zbywającego im do południa czasu poświęcały ofiarnie bezinteresownej akcji społecznej, tzn. bezpłatnych kurierów codziennych.

I po cóż Wolanom potrzebna była gazeta codzienna? Stojący przy drodze i publicznej ścieżce, ale z dala od innych, w nie zabudowanym jeszcze wówczas Jaworniku, dom mojej matki był jakby stacją przekąźnikową wszelakich sensacyjnych plotek i wydarzeń prawdziwych. Wracając z miasta, obydwie kurierki wstępowały tu każdego dnia, choćby nawet gospodyni domu była nieobecna.

(„Palacz z Hrabiofskiej Likierni”, rozdział: „Umowa jak cyrograf”)

Fragment 29

Zima, zwana macochą przyrody, miała się już ku końcowi. Według odwiecznych praw, w lutym już potęga jej mocy powinna by była słabnąć. Tymczasem jednak jakby uwzięła się pokazać, na co ją jeszcze stać, aby pamięć i sławę pozostawić mogła po sobie na długo. Okutani w chusty ponad czubek głowy sąsiedzi, jeśli który został zmuszony potrzebą na dwór z ciepłego zapiecka wyleźć, zamiast tradycyjnych słów pozdrowienia, przygadywali zimie z uznaniem:

- Ale mróz, jak siarka.

Kto więc i po co miałby się oddalać z domu czy ze wsi? A najważniejsze, że nie było w czym. Ziemię ojczyste, wyzwoloną spod zaborów, były doszczętnie ograbione i zniszczone, cały kraj leżał w gruzach. A wyczerpany szarpaniną wojenną naród polski obdarł się tak, że młody żołnierz dokończył tego wojowania na bosaka nierzadko.

Gorzej było z butami. Myśl o sprawieniu ich sobie równała się marzeniu o czymś nieosiągalnym prawie. W handlu nie było obuwia wcale. Szewce, tworzący w owym czasie buty z przeróżnych kombinacji nie dawali rady poprzystrajać w nie wszystkich. Zresztą i na takie buty stać było niewiele.

Szwagier mój, zawołany stolarz i prawie artysta swego zawodu, z braku zamówień na roboty meblarskie i budowlane dogadał się z młodszym od siebie, moim towarzyszem z lat dzieciństwa, Jankiem Boberem, sławnym już od Lwowa po Kraków szewcem, zaprzyjaźnili się z sobą i założyli spółkę z kapitałem, na który złożyły się dwie roztropne głowy i cztery zdolne ręce. Wyszywał Janek wierzchy nad podziw zdobne i krase, szwagier zaś mój cud podeszwy wystrugiwał ze szczap bukowych i, jako malarz amator, lakierem je odpowiednim do każdego gustu pokrywał na lśniaco.

(„Palacz z Hrabowskiej Likierni”, rozdział: „Ziarnko, wróbli dwa i kogut”)

Fragment 30

Kiedy po ustaniu wojny drużyny sportowe w oddziałach organizować zaczęto, jakżeby obeszło się beze mnie, co ganiać mogłem jak chart szybko i tak samo jak pies bezmyślnie głupio. Trenowałem w pomocy, natarciu i na beku, dopadałem piłki zresztą, gdzie tylko się potoczyła, choć nieraz innemu graczowi bliżej było do niej i poręczniej. W niedługi czas piłka stała się dla mnie jakby zbawieniem duszy.

Pewnego odwieczera mecz rozgrywał się zażarty między drużyną klasy b przy dowództwie taborów i taką samą przy sztabie dywizji. Rzecz działa się na głębokiej prowincji, gdzie znana może była gra w świnkę, ale o takim cyrku, jak futbol, nikt tu jeszcze nie słyszał. W pewnej sytuacji podbramkowej już, już miałem piłkę przeciwnikowi spod nóg wykopać i w róg bramki strzelić, gdy raptem przy zderzeniu z nim ból straszny całego mnie przeniknął i zwałem się na ziemię.

Kilku sanitariuszy, chłopców jak niedźwiedzie, doktor miał zawsze pod ręką. Obolały dźwignąłem się powoli i szukając w jego oczach odrobiny chociaż miłosierdzia, zameldowałem smutno:

- Duży palec od lewej ręki zgubiłem, panie majorze...

- O, ho, ho, bracie! - ryknął śmiechem beztroskim. - To niedobrze! Bez palca? Stara baba cię nawet nie zechce. No, może my tu jakoś będziemy szukać.

Nie da się tu opisać przeżytej tortury w czasie poszukiwania zagubionego palca, który, jak dowiedziałem się później, wyskoczył ze swego łożyska i uciekł aż po przegub za dłońią. Jak długo trwał ten pojedynek palca z doktorem, nie zdawałem sobie sprawy.

Nie dziw zatem, że na wspomnienie o piłce i kopaniu plućem sobie w brodę, a od sportu i wszelkiego rodzaju meczów stroniłem jak od morowego powietrza.

(„Palacz z Hrabowskiej Likierni”, rozdział: „Ziarnko, wróbli dwa i kogut”)

Fragment 31

Hrabia Roman Potocki, osobisty przyjaciel cesarza Austrii, Franciszka Józefa, jeden z najbogatszych magnatów w Galicji, był wybrańcem fortuny i dzieckiem szczęścia. Nie licząc wielu innych, spadłych na niego z różnych stolic świata, honorów i zaszczytnych odznaczeń, był on, jak rzadko kto, kawalerem Złotego Runa, a kapitały jakby uwzięły się spływać na jego ręce strumieniem niepowstrzymanym, gdzie tylko się obrócił. Zdając się nie dbać o nie, brał je całymi garściami, skupywał, co tylko i gdzie się dało, budował, hazardował się w grach przeróżnych, a zawsze szczęśliwie. Nigdy przy tym na niczym nie stracił, wszędzie i na wszystkim zyskiwał.

Rozmłowany w pięknie sercem i duszą artysty, poszerzył o nowe dobudowy gmach swej łańcuckiej rezydencji, zdobiąc pomieszczenia jego wnętrz rękami wysoko opłacanych mistrzów z kraju i z zagranicy. I tak już olbrzymi park wokół pałacu hrabia Roman powiększył jeszcze przydziałem kilkuhektarowego obszaru, obsadzając kolekcją rzadko spotykanych w Europie drzew, bajecznych krzewów, przystrajając dywanami i festonami barwnie dobranego, żywego kwiecica, które wabiły oczy codzienną, świeżą wonnością bukietów i pąków, od wczesnej wiosny do nastania mrozów i śniegów.

Krzyżujące się w różnych kierunkach tego parku wstęgi ścieżyn, posypywane co pewien czas drobniuteńkim szuterkiem rzeczonym, zdawały się kusić do spacerów czy przesiadywania pod olbrzymimi koronami drzew na licznie rozstawionych wygodnych ławeczkach. Dbała o czystość tych ścieżyn specjalna służba. Nie dziw zatem, że wejście do parku było wzbronione komukolwiek spoza mieszkańców pałacu i służby. Jedynie młodzieży szkół łańcuckich, i to klas niższych jedynie, dozwolone było raz w roku, w święto Dni Krzyżowych, użyć przechadzki ścieżynami parku, w uszeregowaniu parami, pod opieką odpowiedzialnych za porządek nauczycieli i wychowawców.

(„Palacz z Hrabiońskiej Likierni”, rozdział: „Złoto do złota”)

Fragment 32

Spoważnieć było mi koniecznością. Zdarzyła się ku temu akurat sposobna okazja. Pierwszy to raz w życiu, a minęło mi ćwierć wieku, dostąpiłem zaszczytu nazywania się ojcem chrzestnym, na razie. Wdzięczny mój szwagier zaprosił mnie był bowiem w kumy. Przed wyjazdem do kościoła zapytałem szwagra:

- Jakież to imię mamy nadać temu ... no?

- Geneusz - rzekł szwagier z powagą.

Geneusz, Geneusz. Coś mi się, nie w porządku widziało to nazwanie. Ale szwagier ramy piękne do obrazów świętych wykonywał, zapewne więc i imiona ich znał ode mnie lepiej - starałem się siebie przekonać, do sań jednak wsiadałem bez humoru.

Imię Geneusz coraz bardziej nie dawało mi spokoju. Ale też nachapię się wstydu od księdza przy chrzcielnicy, gdy mu takie imię podpowiem. Ja tu zaś gębę ogoliłem do czysta, w garnitur włożyłem, a najważniejsze: krawat wzorzysty na szyi świadczył, że ojciec chrzestny nie w kij dmuchał. A tu głupiego imienia jednego z niewielu mieszkańców nieba wypowiedzieć nie potrafi. Bożeż ty mój, oświeć mnie, o jakiego świętego tu chodzi modliłem się w duchu.

Lękając się spodziewanej kompromitacji, postanowiłem w końcu Wojtkiem go ochrzcić i po charapie. A potem... niech szwagier pisze do Ojca Świętego w Rzymie, jak zechce mu się Geneusza gwałtem. Idąc z chrześniakiem na rękach nawą boczną kościoła ku chrzcielnicy, humor miałem już wyśmienity. A gdy przygotowany do dokonania chrztu ksiądz o imię dziecka zapytał, wyrwało mi się ni stąd, ni zowąd:

- Eugeniusz.

Przyjąwszy imię do wiadomości, ksiądz wypełniał swą powinność z niewzruszoną powagą, ani wiedząc o tym, że chrzestnemu ojcu w tej podniosłej chwili na łbie zachciało się stanąć z radości.

(„Palacz z Hrabiońskiej Likierni”, rozdział: „Zmory i znowy”)

Fragment 33

Najofiarniejszym strażnikiem dóbr pana hrabiego na terenie budującej się fabryki była Jena. Była to suka jamnik o przednich łapskach jak ziemniaczane kłaczki pokrzywionych i gładkiej, lśniącej sierści barwy palonej cegły. W stworzeniu tym złość kipiała nieustannie.

Z kim jak z kim, ale z Jeną poznać się byłem zmuszony. Skoczyła do mnie ze szczekiem jak wścieklica. Udając, że nic mnie ona nie obchodzi, usiadłem na ziemi przy płocie, rozpakowałem zawiniątko z przyniesionym posiłkiem. Ku mojemu zdziwieniu, oprócz chleba, masła i sera, matula dołożyła mi jeszcze pampuchów kilka. Patrząc złościami w oczy, przemawiam rzeczowo, spokojnie, na wyrozum:

- I cóż ty draki ze mną szukasz, winienem ci co? Daj spokój, my obydwójce żyć musimy w zgodzie i przymierzu siakim takim. O, matka mnie pampuchami uraczyła. - I napoczętego już pampucha pod rozszczekany pysk błaznicy podrzuciłem.

Rozsmakowawszy się, Jena połknęła jeszcze cztery pampuchy i ukontentowana legła naprzeciwko mnie, z łbem ufnie na mojej nodze położonym, i wyrznęła w ziemię ogonem.

Niedługo potem głos donośny, skrzekliwy rozdarł się w ciszy marcowego poranka:

- Jenaaa!!

- Przepraszam szanownego pana, jeśli o tę inteligentną psinę chodzi, to ja ją w ogrodzenie fabryczne wpuściłem i ze mną do kotłowni bez wabienia ona przyszła.

- Co?! Moją Jenę uprowadził i szła z nim cicho, posłusznie?! Kto on jest, czarnoksiężnik jakiś czy diabeł sam?! A może on odwrotnie czasem, dobrym jest człowiekiem? Proszę się przyznać, czym on ją sobie przekupił?

- Drobiazg, panie kontrolerze. Pampuchem. Chodź tu, Jena, pogłaskasz cię. - I pogłaskałem sukę na oczach jej pana. On zaś lubo zdumiony, zaskoczył mnie najbardziej zaproszeniem na śniadanie.

- Pan sukę moją ugościł, ja pana proszę na godzinę dziesiątą.

(„Palacz z Hrabiońskiej Likierni”, rozdział: „Dwu- i czworonożne protektorki”)